

Asnyk o Antygonie.

O ANTYGONIE SOFOKLESA

odczyt

Dra Adama Asnyka

miany w Muzeum techniczno - przemysłowym w Krakowie.

Bogaty skarbiec greckiej tragicznej muzy zaprzepaszo-
nym został z niepowetowaną szkodą dla ludzkości. Na szczę-
ście po trzech największych tragikach dochowała się choć mała
częstka ich olbrzymiej spuścizny, pozwalająca nam przeniknąć
ducha greckiej tragedii i przyjrzeć się jej bohaterskim posta-
ciom wyniesionym po nad poziom powszedniego życia w sferę
tytanicznych porywów i cierpień.

Ocalone arcydzieła Eschylosa, Sofoklesa i Euripidesa stały
się nietylko nie wyczerpanym skarbyem dla wszelkiego rodzaju
uczonych i badaczy, nietylko przeszły w krew i życie nowo-
żytnej poezji i sztuki, ale dla całego świata co myśli i czuje,
są one wiecznie żywym źródłem, u którego poić się może cza-
rem nieśmiertelnych, zawsze świeżych piękności.

Komuż nieznane będą choćby pośrednio takie postacie,
jak Prometeusz, Orest, Edyp, Elektra, Ifigenia, Fedra, Medea,
co jak żyjące osoby występują w naszej wyobraźni w całej gro-
zie swych tragicznych losów? Komuż obcą będzie owa najideal-
niejsza ze wszystkich dziewic Antygona, co prowadzi za sobą przez
wieki żalony chór pokrewnych sobie postaci, skarżąc się niebu
że w obronie wyższych boskich praw musiała paść ofiarą usta-
lonego społeczeństw porządku. Któż nie współczuł z jej smu-
tnym losem, któż nie podziwiał jej czystej, wzniosłej piękności?
Po wszystkie czasy i u wszystkich narodów zyskała ona sobie

obywatelstwo w sercach ludzi, jako przedstawicielka wyższej moralnej idei wybiegającej po za granicę dotychczasowych praw i pojęć i łamiącej się w tej walce z rzeczywistością. — W rzędzie tragicznych bohaterek świat nie posiada, drugiej równą szczytnej kreacyi i Antygona pozostanie na długo jedyną niedostępną pięknnością, opromienioną olimpijską jasnością bogów, a przecież zarazem tyle ludzką, i tyle pełną niewieściego wdzięku. Tak ją sądzą dziś po wielu upłynionych wiekach i tak ją sądzą współcześni ziomkowie Sofoklesa. Tragedya bowiem, w której ona główną jest postacią, i której nadała swoje imię, przedstawiona w Atenach w roku 440tym przed narodzeniem Chrystusa, zjednała Sofoklesowi najwyższy dowód uznania, wybór na godność Stratega.

Pojawienie się Antygony przypada w chwili, gdy już tragedia grecka przebiegła długą drogę stopniowego wydoskonalenia i osiągnęła najwyższe wykończenie form i budowy względnie do ideału klasycznych pojęć o sztuce; zanim więc przystąpimy do rozbioru tego arcydzieła, musimy przyjrzyć się poprzednio, jak powstała i jak się rozwijała w ogóle tragedia w Grecyi.

Tragedya grecka narodziła się pierwotnie z lirycznej pieśni, z dytyrambu; i ten liryczny charakter pozostał jej właściwością i nadal w całym jej rozwoju.

Pierwszym jej zawiązkiem był chór śpiewający przy uroczystościach bachicznych, pochwalne pieśni na cześć swojego Boga. Pieśni te były z początku nawet pozbawione zupełnie tragicznej cechy tak jak ją dziś pojmujemy. Jednakże przybrały miano tragicznych, z powodu, że wygłaszający je choreuci przebrani za Satyrów, przedstawiali podobieństwo do kozłów — lub też dlatego może, iż w czasie tych śpiewów poświęcano kozła na ofiarę bóstwu.

Pierwotnie chóry tragiczne ograniczały się jedynie na wysławianiu wielkości i potęgi Bachusa, na opisywaniu jego przygód i czynów, a ożywione były tańcami i mimiką. Chór uważał sam siebie za orszak towarzyszący Bachusowi i brał żywy udział w jego wyprawach, trudach i uciechach. W następstwie czasu dla większego urozmaicenia wspomnianych uroczystości, brano za przedmiot przedstawienia przygody jakiego innego bohatera — i tym sposobem chór tragiczny wyszedł z wyłącznego zakresu mytów Bachusa. Później jeszcze dla

wywołania silniejszego wrażenia, w czasie śpiewu odłączał się jeden z choreutów i stając przy ofiarnym stole zawiązywał rodzaj rozmowy z resztą chóru, pomagając mu swemi pytaniami do oddania w śpiewie obszerniejszej skali sądów i uczuć. To początkowe przeobrażenie podało myśl pierwszemu Thespisowi ażeby odłączyć stale jedną osobę od chóru i dać jej cokolwiek inne przeznaczenie.

Pozostawiając chórowi jego dotychczasową właściwość lirycznego śpiewu ze wszystkimi towarzyszącymi warunkami muzyki, tańca i mimicznych ruchów, powierzył on oddzielnie mu choreucie wygłaszanie ustępów nie różniących się od zwykłej mowy niczem więcej jak metryczną budową wierszy i podniosłością stylu.

Tym sposobem powstał pierwszy aktor i pierwszy dramat w ścisłem znaczeniu tego słowa, a jakkolwiek wiązanie traicznej osnowy musiało być jeszcze nader prostem, sztuka dramatyczna zyskała już sobie niezbędne narzędzia do dalszego udoskonalenia. Dwa przeciwstawione sobie czynniki, to jest: osoba mówiąca a razem działająca — i chór będący świadkiem jej działań, powiernikiem jej uczuć i myśli, wyrażający śpiewem swoje wrażenia i sądy, były dostatecznymi, aby przedstawić wszechstronnie stan duchowy jednego z bohaterów wobec grożącej mu katastrofy, o co też głównie greckiej tragedji chodziło. W całym bowiem rozwoju klasycznej tragedji spostrzegamy, że wyłączne usiłowanie skierowane jest nie ku pomnożeniu działań i wypadków, ale ku uwydatnieniu we wszystkich szczegółach wewnętrznego moralnego stanu bohatera, objawiającego się pod naciskiem jednego potężnego motywu w namiętności i cierpieniu. Namiętność i cierpienie te dwa nierozdzielne uczucia, które grecki język filozoficznie obejmował jednym słowem pathos, stanowiły treść klasycznej tragedji; wypadki, i działające osoby — były o tyle tylko potrzebne, o ilej służyły do wydobycia ich na jaw z bohatera.

Dla tego też jeden aktor Thespisa wystarczał już do osiągnięcia głównego celu a to tem bardziej, że przy pomocy używanych masek płóciennych mógł występować w różnych rolach w jednej i tej samej tragedji. Cała niedogodność polegała jedynie na tem, że równocześnie obok chóru mogła tylko pojawiać się jedna osoba.

Do tego warunku musiała się nagiąć cała budowa ówczesnej tragedyi i oprzeć się z konieczności głównie na chórze, który wypełniał całe jej ramy od początku do końca. To nadawało przedstawieniu przeważająco liryczny charakter i właściwego dramatycznego dyalogu jeszcze nie osiągnięto. W tym stopniu rozwoju uprawiali sztukę dramatyczną Thespis i Phryniehos, z których ostatni podzielił tylko chór na grupy odpowiadające występującym w tragedyi osobom. Dawny niezmienny chór Satyrów stał się niewłaściwym przy wielkiem urozmaiceniu tragicznych przedmiotów i dla tego zastąpiono go chórami zmieniających się postaci a zgodnych z treścią dzieła, które przedstawiano. Ale te wszystkie drobne ulepszenia niczem były w porównaniu z ważnym krokiem, który zrobił Eschylos wprowadzając na scenę drugiego aktora. Wtedy tragedia grecka mogła się ukazać w całej swojej świetności przy błysku tego potężnego geniuszu, co uzupełniwszy techniczne warunki sceny, potrafił wlać w nią nowe życie, tworząc olbrzymie postacie wyposażone tytaniczną potęgą.

Chór nie stracił nic u niego na swoich lirycznych pięknościach, a dramatyczna osnowa wzmocniła się nieskończenie.

Gdy w poprzednim okresie cały szematyzm tragedyi polegał na tem, że po każdej scenie, w której brała udział mówiąca osoba wspólnie z chórem, następowała druga scena ograniczająca się na samym chórze i w ten sposób ciągle naprzemian do samego końca tragedyi, to teraz możliwem już było rozwinięcie rzeczywistego dyalogu i główny działacz mógł przeważnie wypełnić swoją postacią całość przedstawienia.

Jeszcze o krok dalej posunął się Sofokles podnosząc do trzech ilość aktorów, którą to ilość przyswoił sobie również Eschylos w swojej wielkiej trylogii Orestia i która pozostała odtąd normalną dla greckiej tragedyi.

Jednakże pomimo tego stopniowego wzmocniania części dyalogowej, część liryczna nie straciła na swojej wadze i znaczeniu i chór tak jak dawniej unosił na swoich barkach całą posagową piękność scenicznego dzieła.

Powiązanie poważnych scen dramatycznych pieśniami pełnemi poetycznego polotu pozostało stanowczą cechą greckiej tragicznej muzy i najwięksi tragicy w pieśniach chóru starali się zajaśnić prawdziwym blaskiem fantazyi i natchnienia.

W tych pieśniach skupiała się cała poetyczna harmonia, na którą Grecy byli tak wrażliwi. Łatwo wyobrazić sobie możemy wrażenie, jakie wywierał w chwili naprężenia dramatycznego wzniosły śpiew chóru płynący falą bogatej harmonii, podnoszący i uspakajający zarazem ducha słuchaczy.

To niezmiernie znaczenie chórów było powodem, że sami autorowie tragiczni zajmowali się jego wyuczeniem i sami układali dlań muzykę jako też i mimiczne tańce.

Starano się także urozmaicić liryczne śpiewy chóru, dzieląc go na grupy, z których każda w pewnych razach miała oddzielną część do oddania — lub też pozwalając niekiedy podnosić się z jego łona pojedynczym głosem, uwydatniającym pojedyncze odcienia. Ale chór w udoskonalonej tragedji nie ograniczał się tylko do czysto lirycznej roli, ale owszem zawiązywał w pewnych chwilach z działającymi osobami zwykłą rozmowę, jako świadek ich czynów i cierpień i powiernik zamiarów i uczuć. Nawzajem osoby działające przechodziły w chwilach wielkiego wybuchu boleści do lirycznego śpiewu, na który chór również śpiewem odpowiadał.

Na chórach wreszcie zasadał się podział starożytnej tragedji, której nie znane były nasze przerwy międzyaktowe. Każda z nich rozpoczynała się od prologu odpowiadającego naszej ekspozycji, w którym występują same osoby działające bez chóru. Koniec prologu następuje dopiero wraz z ukazaniem się chóru, który powoli idzie przez scenę śpiewając i zajmuje w orkiestrze swoje miejsce, na którym już stale do końca sztuki pozostaje. Tę pierwszą wstępną pieśń wchodzącego chóru nazywali Grecy Parados. W dalszym ciągu rozwija się akcja dramatyczna i gdy już dojdzie do pewnego stopnia rozwoju, zawiesza ją na chwilę następna pieśń chóru śpiewana z miejsca i dla tego też nazwana Stasimon. Część zaś dramatyczna, którą obejmuje Parados i Stasimon, zwie się Epizodem. Następnie po odśpiewaniu pierwszego Stasimonu, przypada drugi Epizod zamykający się również drugim Stasimonem i tak dalej... stósownie do obszerności i więcej lub mniej skomplikowanej akcji scenicznej. Po odśpiewaniu ostatniego Stasimonu pozostała końcowa część nosiła miano Exodos, co odpowiada naszemu rozwizaniu.

W tak udoskonalonej już zewnętrznej formie ukazała się olśniewająca pięknosciami swemi Antygona. Treść jej wzięta została przez Sofoklesa z obszernego cyklu podań tebańskich o strasznych losach domu Labdakidów, w których Edypowi i jego potomstwu najznakomitsza przypada rola. Podania te dostarczyły już treści wielu epikom, lirykom i tragikom, a sam Sofokles oprócz Antygony osnuł na ich tle swojego Edypa króla i Edypa w Kolonie. Dziwnym zbiegiem okoliczności Antygona, która najpierw została napisaną, w przebiegu mitów tebańskich ostatnie zajmuje miejsce, i kończy smutne dzieje Edypowego rodu, do których powrócił Sofokles w dwóch swoich późniejszych tragedyach.

Mityczna historia Edypa, wiążąca się z treścią Antygony, jest następującą:

Laios, syn Labdakosa, został ostrzeżony przez wyrocznię, że syn, co mu się narodzi, popełni w przyszłości ojcobójstwo i zaślubi własną matkę. Prerażony tem ostrzeżeniem Laios, zaraz po narodzeniu dziecięcia, kazał mu przebić i związać nogi i porzucić w tym stanie na dzikich szczytach Kitheronu na pastwę dzikim zwierzętom. To nie powstrzymało jednak grożącego fatum — dziecko zostało uratowane i wychowane u obcych, nie świadome swego pochodzenia, nosząc nazwę Edypa od swych nóg skaleczonych. Młodzieńcem Edyp zawędrował przypadkiem do Teb i na drodze spotkawszy Laiosa, zaciepiony przez niego, w obronie swojej zadał mu cios śmiertelny, nie wiedząc z kim ma do czynienia. Ponieważ w dalszym ciągu Edyp uwolnił Teby od Sfinksa, co wszystkich wędrowców pożerał, wdzięczni Tebańczycy ogłosili go królem, skłoniwszy do ożenienia się z królewską wdową. Tym sposobem spełnił się wyrok przeznaczenia — i Edyp panował czas jakiś szczęśliwie — aż nagle straszne klęski spadają na cały kraj jako zapowiedź gniewu bogów. Pytane wyrocznie odpowiadają, że nieszczęścia mnożyć się będą, dopóki straszna zbrodnia nie zostanie odkryta i ukarana. Edyp postanawia dojść jej i osiągnąć winnego i na tem właśnie dochodzeniu przestępcy i odkryciu go we własnej osobie polega cała tragiczna groza Sofoklesowego Edypa króla. Edyp poznawszy swoją zbrodnię, wyrzeka się tronu, wydziera sobie oczy i przekląwszy synów: Eteoklesa

i Polinikesa, którzy chcą utrzymać się przy władzy, udaje się w towarzystwie swej córki Antygony do Kolonos pod Atenami, gdzie w gaju poświęconym Erynniom, prześlągawszy mściwe bóstwa, śmierć szczęśliwą znajduje.

Tymczasem po śmierci Edypa, jego synowie Eteokles i Polynikes nie mogą zgodzić się z sobą co do podziału władzy i Polynikes, opuszcza Teby i gotuje napad znany pod nazwiskiem wyprawy siedmiu przeciw Tebom, będącej przedmiotem tak samo nazwanej tragedji Eschylosa.

Eteokles rządzi przy pomocy swojego wuja Kreona w Tebach, gdzie się również Antygona po śmierci ojca schroniła, a wyprawa prowadzona przez Polinikesa, przybywać je oblegać. Tu spełnia się przekleństwo ojcowskie na synach: Teby wychodzą z walki zwycięzko, ale obadwaj bracia, potykając się, zadają sobie jednocześnie cios śmiertelny i giną w tem podwójnem bratobójstwie. Po ich śmierci obejmuje władzę Kreon i z tą chwilą rozpoczyna się traiczna osnowa Antygony.

Kreon oddawszy cześć pogrzebową zwłokom Eteokla, pozostawia na pobojowisku niepogrzebane ciało Polinikesa na pastwę drapieżnego ptastwa i zwierząt. W pojęciu swoim ma on za sobą prawo i słusność. Polynikes podburzył obcych przeciw Tebom, napadł z nimi zbrojnie swoją ojczyznę, był zdrajcą i świętokradcą, powinien więc być w miarę swych zbrodni ukaranym, nawet po śmierci tak, ażeby ta kara była odstrasżającym przykładem dla wszystkich obywateli w przyszłości. Przykładnego ukarania domagała się sprawiedliwość ludzka i dobro państwa zarazem. A jakaż mogła być skuteczniejsza kara dla zmarłego, jak pozbawienie go czci pogrzebu pociągające za sobą, wedle ówczesnych pojęć, niezatartą hańbę na całe wieki? Była to śmierć druga, śmierć straszniejsza od pierwszej, dosięgająca nawet winowajcę w podziemnem państwie Hadesu, gdzie cień podobnie znieważony nie mógł się dostać do miejsc mu przeznaczonych, a tylko błąkać się musiał pomiędzy ziemią a ciemnym Acheronem, nie mogąc się dobić ostatniego umarłych spoczynku. Taką sprawiedliwość postanowił wymierzyć Kreon, sprawiedliwość nieubłaganą, bezwzględną, obrażającą w skutkach swych opiekuńcze umarłych bóstwa i sprzeczną z poczuciem wyższych moralnych praw rządzących światem. Nie dość mu bowiem było w zasadzie odsą-

dzie zwłoki Polynikesa od czci pogrzebu, ale zamierzył jeszcze zabezpieczyć swą wolę przed wszelką pokusą ludzkiego współczucia i litości, ogłaszając z góry wyrok śmierci na każdego, coby się ośmielił oddać Polynikesowi tę ostatnią przysługę i ustanawiając w tym celu straż nad zabitym.

Ta surowość Kreona, to nadużycie władzy i przecenienie mądrości swoich sądów, budzi w Antygonie szlachetne oburzenie, napełnia ją zgrozą i boleścią i wywołuje w niej wewnętrzną moralną konieczność stawienia oporu wyrokom władzy na mocy tych wiecznych uczuć, które bóstwa same wlały w serca ludzkie. Ona wszakże nie może patrzeć obojętnie na to ostatnie nieszczęście i ostatnią zniewagę swego rodu, ona, nad którą klątwa rodziny win i nieszczęść ciążyła od urodzenia, ona, co była świadkiem tragicznych losów matki i ojca, których bolesną pamięć odziedziczyła w jedynej spuściźnie, ona, co podzieliła zarówno serce swoje pomiędzy obu wrogich sobie braci i których zgon straszliwy, przedwczesny, występny, zarówno teraz oplakuje. Pozostawszy na ruinach swego domu, musi stać jeszcze na straży jego czci i zasłonić ukochanych zmarłych przed zniewagą upojonego zwycięstwem i wyniesieniem władcy. Antyгона postanawia spełnić to, co uważa za swój obowiązek, a przekonana, że jedyna pozostała jej siostra Ismena musi podzielać jej uczucia, zwierza się przed nią z postanowieniem pogrzebania zwłok brata, chcąc się podzielić z nią chwałą i zasługą tego przedsięwzięcia. Ale Ismena nie jest bochaterką; jest ona łagodną, szlachetną ale zarazem słabą i trwożliwą dziewczicą, dla której wyrok Kreona posiada obowiązującą moc prawa. Boleje ona nad nowem nieszczęściem, które ród jej spotyka, ale mu przeciwdziałać nie jest w stanie. Owszem przestrasza ją wszelka myśl oporu przeciw ustawom zwierzchności, z którymi słaba niewiasta walczyć nie powinna. Pragnie więc zachwiać postanowienie Antygony i powstrzymać ją od zuchwałego kroku, który tylko ściągnąć na nią może ostateczną zgubę. To bierne zachowanie się, ta małoduszność Ismeny, jątrzy dumne a zranione serce Antygony. Jej nie chodziło o fizyczną pomoc, ale o współdziałanie w szlachetnych uczuciach siostrzanej miłości, o moralne współuczestnictwo w wielkim, podniosłym czynie. Odtrąca więc wzgardliwie wszystkie uwagi siostry, wszystkie jej objawy serdeczności,

ażeby, zamknąwszy się w swej chwalebnej dumie i poświęceniu dla zmarłych, samej przystąpić do wykonania raz powziętej myśli.

Początkowo udaje się jej zmylić czujność straży i spełnić pobożne dzieło obmycia i zasypania warstwą świeżego piasku nieszczęśliwych zwłok brata. Straż przestraszona zawiadania o tem swego władcę, który, gromiąc ją za niedozór, nakazuje obnażyć napowrót ciało zabitego i pod najśrodszą odpowiedzialnością pochwyć sprawcę podobnego usiłowania. Biedna Antygona widzi pracę swoją zniweczoną i staje rozżalona nad tą zburzoną mogiłą wybuchając boleścią, która samych nawet strażników do głębi porusza. Ale litość u nich ustąpić musi obawie kary i widząc jak Antygona obmywa zwłoki brata razem łzami i wodą z ofiarnego dzbanka i zabiera się do odnowienia mogiły, chwytają bohaterską dziewczę i przyprowadzają przed Kreona.

Tu następuje starcie tych dwóch wprost przeciwnych sobie charakterów. W oczach Kreona postępek Antygony, będący zaprzeczeniem nieomyłności jego sądów, jest zbrodnią do niedarowania. Spodziewa się więc przynajmniej znaleźć ją skruszoną i drżącą przed majestatem swojej powagi. Pewnym jest, że się zapierać będzie tego czynu lub też świadomości ogłoszonego wyroku. Tymczasem Antygona niczego się nie wypiera, ale owszem przeciwnie szczyci się z tego, co dokonała i niezastraszona żadnemi groźbami występuje wręcz przeciw nieomyłności ludzkiego wyroku, powołując się na odwieczną sprawiedliwość niebios.

Takie wystąpienie Antygony zadaje powtórny cios obrażonej dumie zaślepionego w swej mądrości Kreona. Gniew i namiętność potęgują się u niego z każdym jej słowem i postanawia ostatecznie wykonać na niej wyrok śmierci, bez żadnego względu nawet na własnego syna Hemoną, którego Antygona jest narzeczoną. W niemającym granic uniesieniu zamierza on rozciągnąć karę również i na Ismenę, za to jedyne, że ta ośmiela się bronić swej siostry i chcąc podzielać jej nieszczęście, przyjmuje na siebie połowę odpowiedzialności z czynu, w którym nie brała udziału. Każe więc odprowadzić obie dziewczę pod strażą, zanim sam obmyśli dla nich rodzaj śmierci.

W tej stanowczej chwili zjawia się zawiadomiony o postanowieniu ojca Hemon, stając w obronie tej, którą kocha

i którą poślubić pragnie. Znając charakter ojcowski, chce pokorą i synowską uległością rozbroić jego serce. Z największą ostrożnością, szanując wszystkie jego drażliwości, zaczyna gromadzić on powody i rozumowania przemawiające za potępioną. Ale cała jego zręczność na niewiele mu się przydaje. Kreon ucieszony z początku myślą, że syn jego ślepo będzie mu posłusznym i poświęci bez wachania na rozkaz ojca swoją narzeczoną, widząc w dalszym ciągu jak on z umiarkowaniem lecz stałością ośmiela się zbijać wszystkie jego twierdzenia, tem bardziej okazuje się niewzruszony. Prawdy zawarte w słowach Hemonu sprawiają na upartym starcu wprost przeciwny skutek: utrwalają go tylko w jego zaciętości i nienawiści dla tej Antygony, której niewieście wdzięki są źródłem nieposłuszeństwa syna. Rozmowa między ojcem a synem jątrzy się i napręża z każdą chwilą i kończy się obustronnym wybuchem i pogrózkami odchodzącego z rozpaczą Hemonu.

Tu Kreon postanawia natychmiastowo przystąpić do wymierzenia kary, a uznając wreszcie zupełną niewinność Ismeny, rozkazuje samą tylko Antygonę wywieść za miasto i na pustkowiu zamurować w jaskini, by tam powolną śmierć znalazła. Żołnierze wprowadzają Antygonę, i ta idąc na śmierć nieuchronną łąz brylanty i śpiewne skargi rozsiewa po drodze. Przecudownie, prawdziwie po mistrzowsku pomyślane i oddane całe to przejście. Antygona była nieustraszoną bochaterką, u której straszne widmo śmierci nie zaważyło na szali postanowień, gdy chodziło o dopełnienie najświętszego obowiązku — pogrzebienia zwłok brata. Również z niezachwianą pogodą dumna ze spełnienia szlachetnego czynu, stawiała czoło Kreonowi, przeciwstawiając jego ziemskiej potędze i mądrości, niebiańskie czyste serce natchnienia. Nie uniżyła się ona do prośby ani do zaparcia się swych przekonań, ażeby okupić w zamian swe życie. Ale teraz, gdy bez żadnego ratunku ma pożegnać na zawsze jasność słonecznych światów, niewieścia, miękka, dziewczęca strona odzyskuje w niej swe prawa. Nie ma tam nienaturalnej, przesadnej pogardy śmierci, ale owszem wrodzona każdemu człowiekowi, a tem bardziej młodej dziewczycy obawa smutnego zgonu i towarzyszący żal za życiem. Czuje ona i myśli po ludzku, wzywa litości i współczucia swych ziomków i jak biedne dziecko, nieszczęsna sierota, rzewnie skarży się przed

całym światem, że tak młodo, tak smutnie, bez ślubnego wieńca, zstępować musi w otchłań grobową.

Z wyprowadzeniem na stracenie Antygony kończy się jedna faza tragedyi przechodząc w drugą skupiającą się około postaci samego Kreona. Zjawia się Tireziasz, wieszczbiarz, przedstawiciel religijnych i moralnych uczuć, których zadaniem zawsze było miarkować rozszalałe zapędy władców w chwilach, gdy przekraczają one granice praw boskich. Ostrzegał on już poprzednio Kreona, że wyrokiem swoim obraził bóstwa, i targnął się na święte przepisy zapisane w sercach wszystkich ludzi, a teraz przychodzi po raz ostatni wzywać go do upamiętania i grożąc mu karą niebios, namawia do ocalenia od śmierci Antygony i pogrzebania zwłok Polynikesa.

Zaslepiiony Kreon uważa przestrogi Tireziasza za nieprawny zamach na swoje rządy. W jego przekonaniu wszyscy spiskują przeciw niemu, nawet własny syn, a teraz i kapłan bogów, powiernik ich najwyższej woli. Obarcza więc wieszczbiarza zarzutami, oskarża go o chciwość władzy i pieniędzy, o umyślne przysporzenie zawikłań i podżeganie obywateli. Dotknięty niesłusznie starzec odchodzi rzucając Kreonowi straszne proroctwo, że niezadługo ujrzy na własne oczy nową ofiarę z własnej krwi i kości, co padnie za jego winy.

Wtedy dopiero nieugięty dotąd władca zaczyna chwiać się w swoim postanowieniu. Wie on tak samo jak cały lud, że Tireziasza przepowiednie nigdy nie zawiodły. — Przestrach go ogarnia i nie wie co ma robić. — Zasięga rady chóru i idąc za jego wskazówkami zgadza się choć niechętnie uleść konieczności. Wydaje rozkazy orszakowi żeby natychmiast pogrzebać zwłoki zabitego a zarazem wydobyć Antygonę z pieczary i sam w tym celu do niej się udaje. Niestety późniona skrucha — mściwe niebiosa spełniły już swe wyroki.

Przbywa niezadługo posłaniec przynosząc straszną opowieść chórowi. Z ust jego dowiaduje się nieszczęśliwa matka Hemon, Eurydika o ciosie jaki ją spotkał.

Kreon bowiem przybywając z swoim orszakiem do pieczary, w której żywcem pogrzebano Antygonę usłyszał z daleka żalony głos syna. Miotany złowrogiem przeczuciem dostaje się czem prędzej do jej wnętrza — i zastaje Antygonę już bez życia zawieszoną na swojej zasłonie a u stóp jej obłąka-

nego miłością i rozpaczą Hemon, który się wstrząsa na widok ojca, zabójcy swej ukochanej. Daremnie Kreon chce go pocieszyć i uspokoić najtkliwszą prośbą—Hemon bezprzytomny z dzikiem obłędem w oczach chwytą za miecz i rzuca się przeciw ojcu. Ten się cofa przerażony a Hemon w oczach jego zatapia w swoim łonie żelazo i dobywając ostatki sił obejmuje ramieniem umarłą dziewicę i jej blade, martwe lica purpurą krwi swej rumieniać, przy umarłej bez życia pada.

Powraca na scenę Kreon z orszakiem niosącym zwłoki syna. Ale nie jest to już ten zaślepiony w swej potęgze i mądrości władca, tylko biedny, zgnębiony starzec, któremu boleść otworzyła oczy na szaleństwo ludzkiej samowoli. Strata jedynego syna nieprzewidziana poprzednio w chwili zaciętości i dumnego uporu przyćmiewającego ojcowskie uczucia, występuje teraz w całej grozie i obarcza go ciężarem krwi dobrowolnie na siebie ściągniętej. Dawniej nie było miejsca w tem sercu dla tkliwszych uczuć, a teraz zwykłym zwrotym umysłu ludzkiego występują one wszystkie wobec okropnej rzeczywistości, która się już odstać nie może, i szarpiać nakształt mściwych furi pierś winowajcy. Kreon wybucha niepowstrzymaną boleścią: złorzeczy swemu niemądremu rozumowi i wylewa łzy nad synem którego jedynym zabójcą się mieni. Jego rozpacz, boleść i przerażenie potęgują się jeszcze, gdy mu dają znać, że Eurydyka jego żona a matka Hemon, odebrała sobie życie krew swoją i syna rzucając mu na głowę i ostatnie posyłając przekleństwo.

Wtedy załamuje się w nim cały człowiek i zniweczony, zgnieciony każe się wyprowadzić precz chórowi — jako rozsypaną w proch ruinę, jako rzecz nieistniejącą, umarłą dla siebie i dla drugih.

Oto jest w głównych zarysach cała treść Sofokleskiej tragedji.

W treści tej spoczywa myśl niezmiernej doniosłości i ogólnie ludzkiego znaczenia, myśl wybiegająca po za granice jednej wyłącznej epoki i jednego szczególnego kraju i plemienia; sięga ona bowiem do najgłębszych zadań społecznych, do nieskończonego nigdy sporu, który się toczy przez wszystkie wieki między poczuciem wyższych moralnych praw — a obowiązującymi współcześnie ustawami, wyposażonemi siłą ku utrzymaniu

skryształizowanego społeczeństw porządku. Ten spór, ta walka, trwa nieustannie w świecie znajdując coraz to nowych dla siebie przedstawicieli i przyczyniając się wśród ciągłych starć tragicznych, do ożywienia zastygłych form prawa, nowym duchem wznioślejszej moralności.

Na tem polega cały postęp, całe doskonalenie się społecznego prawodawstwa, które jak powstało z łona etycznych wyobrażeń, tak powinno się ciągle nimi posiłkować i odnawiać, pod karą pozostania w sprzeczności z ludzką naturą i z własnym swoim celem. Lecz podobne przeobrażanie odbywa się nazbyt powoli — i każda nowa idea moralna otrzymuje dopiero wtedy zupełne zwycięstwo, gdy znajdzie przysposobioną dla siebie szeroką podstawę ogólniejszego uznania, gdy stanie się jasną, widoczną i odczuta przez większość.

Ztąd to ci wszyscy, którzy jak Antygona wybiegną wewnątrz uczuciem po nad sferę moralnych pojęć swego otoczenia, i uzbrojeni tylko swem osobistem przekonaniem wystąpią przeciw ustalonemu porządkowi praw i ustaw rządzących, pomimo całej swej szlachetności i szczytności idei którą piastują — uledz muszą podobnie jak ona smutnemu przeznaczeniu. Jest to naturalnem, koniecznem. Inaczej, gdyby nie było tej grozy tragicznych losów zawieszanej nad głowami wdzierających się na przepaściste wyżyny bohaterów, każda wówczas ruchliwsza jednostka gotowaby się uważać za wyższą nad obowiązujące prawa i czułaby się powołaną do narzucania światu swoich osobistych pojęć i przekonań. A wtedy żaden ustrój społeczny nie byłby możliwym.

Odpowiedzialność więc za wszelki zamach na istniejące urządzenie jest nieubłaganą koniecznością, utrzymującą równowagę społecznego życia. Dosięgnięte przez nią ofiary mogą być wyniesionemi wyżej po nad poziom swojej epoki, mogą połyaskać szlachetniejszą, jaśniejszą myślą wobec ciemniejszego tła przesądów i uprzedzeń, nie mniej przeto noszą w sobie winę bezwzględnego lekceważenia rzeczywistych warunków. Będą one czystemi i niewinnemi przed Bogiem i własnem sumieniem a przyszłe pokolenia czcią je okryją należną, ale w sądzie współczesnych, mimo współczucia i sympatyi — znajdą one potępienie swej niewczesnej śmiałości. Takim jest przynajmniej wobec Antygony zachowanie się chóru, który w tragediach

greekich wyraża przeciętny, bezstronny sąd ogółu — a zarazem sąd samego autora. Chór bowiem lituje się nad nieszczęściem bohaterskiej dziewicy, otacza ją współczuciem, podziwia jej szlachetność i odwagę, ubolewa nawet nad nieludzką surowością Kreona, nie mniej jednakże wypowiada swoje przekonanie, że jest winna przekroczenia praw, i że swem nieposłuszeństwem władzy i państwu, zasłużyła na karę. Ustawy Kreona w pojęciu chóru mogą być złe i bezbożne, Antygona wszakże powinna się do nich zastosować, a jeżeli na mocy szlachetniejszych pobudek przeciw nim występuje, musi się przygotować na śmierć, która tutaj jest logicznem następstwem, zarówno karą wobec społeczeństwa i praw jego, jak nagrodą wobec sumienia bohaterki. Śmierć taka bowiem nie jest bezpłodną i jałową, ale staje się wymownem świadectwem idealnej prawdy mającej zwyciężyć w przyszłości i trwałym aktem zaskarżenia praw i urządzeń niezgodnych z moralnością.

Bezwzględni wyznawcy ideału padają zwyciężeni, ale padając pociągają za sobą zwycięzców, co upojeni wyłącznem uwielbieniem siły i wszechwładzy państwowej zapominają, iż są jeszcze wyższe boskie prawa, których obrażać im nie wolno.

Tych wrzekomych tryumfatorów co nadużywając władzy i zwycięstwa gotują sobie nieuchronny, zasłużony upadek, mamy uosobionych tutaj w postaci Kreona. On to jest przedstawicielem żelaznej potęgi państwowej, żywym wyrazem tak zwanego rozumu stanu. Dzierżąc władzę w swych rękach jako twórca, stróż i wykonawca praw, nie uwzględnia on żadnej innej sprawiedliwości, żadnych innych moralnych uczuć, oprócz tych, które się opierają na jego uznaniu i nieomyłnej mądrości. Wola jego jest prawem, a wyrok prawa świętym i niewzruszonym. Nic go nie ugnie i nie wzruszy. Dla ugruntowania wszechwładzy państwowej deptać będzie wszystkie udzkie uczucia, mieniać się w nieograniczonej swej dumie jedyną wyrocznią orzekającą o tem, co jest złe i dobre.

Najwięcej krzycząca niesprawiedliwość będzie w oczach jego rzeczą słuszną i godziwą, gdy tylko można ją oprzeć na gruncie publicznego prawa. Napróżno staną przeciw niemu szlachetniejsze pobudki ludzkości, głos krwi, wola bogów, on gotów prawdę, cnotę i religię zarówno postawić pod pręgierzem, oskarżając je o najwyższą zbrodnię, sprzeciwiania się jego

widokom. Ale właśnie ten szalejący zapęd nie uznającej nic nad sobą sobą siły, to zaprzeczenie idealnym kierunkom ludzkiego ducha, to znieważenie najwyższych świętości, sprowadzić musi prędzej czy później na głowę winowajcy odpowiednią przestępstwu karę.

Każdy jego tryumf wypływający z nadużycia władzy przyspiesza tylko wymiar niebieskiej sprawiedliwości i zwraca się przeciw niemu, a boska Nemezis spycha go ze szczytu wielkości i chwały w przepaść unicestwienia. Taką jest myśl przewodnia Sofoklesowskiej tragedyi, myśl, która uderzyła szczytnością swoją współczesnych Ateńczyków, a której nieśmiertelną prawdę my dziś po wielu wiekach tem głębiej jesteśmy odczuć w stanie.

Przystąpmy teraz do rozpatrzenia scenicznej budowy tragedyi i pojedynczych jej ustępów. Prolog stanowi tutaj rozmowa Antygony z Ismeną, w której pierwsza zawiadamia swą siostrę o wyroku Kreona i o swem przedsięwzięciu. W scenie tej maluje się od razu cały charakter obu sióstr. Obok bohaterskiej postaci Antygony natchnionej jedną wielką myślą i niemającej chwilowo miejsca w swej duszy dla innych tkliwszych uczuć, mile odbija nieśmiała, dziewczęca postać Ismeny niezdolnej do czynnego wystąpienia a tylko do cichej ofiary. Antygona nie może jej skłonić do udziału w heroicznym zamysle, ale również nie może zrazić ostremi słowy jej kochającego serca. Z tego siostrzanego sporu wychodzą obie one zwyciężko. Wzniosłą jest Antygona kiedy doznawszy odmowy wybucha gniewem mówiąc:

Nie żądam już! chociażbyś sama chciała
Przynieść mi pomoc — nie przyjmę jej od ciebie!
Pełń wolę swą — ja sama go pogrzebię;
Gdy śmierć poniosę — tem większa dla mnie chwała!
Z miłością tam odpocznę wraz z miłemi,
Uczciwszy cienie pobożną tą przysługą;
Tak krótko trwa skarbiony mir na ziemi,
Wolę więc zmarłym zasłużyć się na długo,
Bo z niemi tam na zawsze zostać trzeba.
Ty zaś wzgardź chwałą, co mają w czei swej nieba.

Nie mniej przeto pełną wdzięku jest pokora i tkliwość Ismeny z jaką przyjmuje wszystkie zarzuty i ostatnie zapew-

nienie wiernej siostrzanej miłości przy pożegnaniu Antyfony idącej pogrzebać zwłoki brata.

W tem miejscu z rozejściem się Antyfony i Ismeny kończy się prolog a natomiast wchodzi chór śpiewający wstępną pieśń: parados.

Ten parados odnosi się do świeżo minionych wypadków, zamykając w następujących po sobie strofach i antystrofach, malowniczy opis przebytej walki. Przebija w nim jeszcze echo orężnego starcia i cała groza domowej wojny jaskrawo występuje. Mordercze ciosy walczących, ognie pożaru, nareszcie podwójny zgon wrogich braci, wszystko to uwydatnia się w potężnej wojowniczej pieśni chóru. Kończy się ona wyrazem radości z odniesionego zwycięstwa i zapewnionego spokoju pozwalającego zapomnieć o ciężkich przejściach i powitaniem wchodzącego na scenę nowego władcy. Odtąd zaczyna się pierwszy epizod tragedyi. Kreon wyjaśnia chórowi znaczenie ogłoszonego przez siebie wyroku. Z wielką zręcznością podnosi swoje posłuszeństwo ustawom ojczyznom, niezachwianą wierność z jaką pozostawał dla panującego domu Edypa i wykazuje, że jak dawniej obowiązkiem jego było ulegać, tak dziś u steru władzy stanowiąc prawa i wykonywać je z całą bezwzględnością dla publicznego dobra. Chór, który w tej tragedyi złożony jest ze znakomitszych obywateli miasta, przyznaje mu prawomocność orzekania o losach żywych jak i zmarłych. Rozmowę Kreona z chórem przerywa pojawienie się strażnika, który przychodzi donieść z trwogą, że zwłoki zabitego nagle pokryły się ziemią. Chór odzywa się nieśmiało, że to może same niebiosy sprawiły, przez co zarabia na gniew Kreona, co nie może znieść przypuszczenia, aby niebiosy opiekowały się potępionym przez niego winowajcą. W całej tej scenie maluje się wymownie niecierpliwość i gwałtowność Kreona nie znośca żadnej najmniejszej uwagi. Kreon odchodzi grożąc śmiercią strażnikowi jeżeli nie dostawi właściwego sprawcy a przestraszony strażnik spieszy na swoje stanowisko.

Na tem się kończy pierwszy epizod tragedyi. Na scenie pozostaje tylko chór wypełniający przerwę dramatycznej akcji swoim pierwszym stasimonem.

W stasimonie tym chór zastanawia się nad człowiekiem, nad tem najwięcej zadziwiającem zjawiskiem wśród świata.

Opisuje, jak on puszcza się na wzburzone fale morza, jak pługiem kraje łono matki swej ziemi, jak rozumem i przebiegłością zwycięża niedoścignione ptastwo w powietrzu a dzikiego w lasach zwierza.

Wysławia go dalej, że wymową swoją kieruje umysłami Indu, że w walce z naturą wychodzi zwycięzko, znajdując sposób na wszystko, wyjąwszy na śmierć, od której się uchronić nie zdoła.

W ostatecznej antystrofie zwróciwszy uwagę na to, jak wyposażony wszelkimi zdolnościami człowiek chwieje się między złem i dobrem, wyraża chór uznanie dla tych, co strzegą ustaw państwa i praw bożych, potępienie zaś dla lekceważących je śmiałków.

Z tem właśnie zakończeniem zbiega się wprowadzenie schwytej przez strażników Antygony, na której widok część chóru dalej pieśnią objawia swe wzruszenie, nie chcąc wierzyć własnym oczom, że to ona przekroczyła zakaz władzy. Tu początek drugiego epizodu. Strażnik zdaje sprawę z całego wypadku powracającemu Kreonowi a po przyznaniu się Antygony uwolniony odchodzi.

Następuje wspaniała scena między nieugiętym władcą a bochaterską dziewicą. Na zapytanie Kreona jak się ważyła przestąpić wiadomy jej rozkaz, bochaterka odpowiada :

To nie był Bóg! co dał ten rozkaz, ani
 Niezłomna słuszność rządząca tam w otchłani;
 Nie twórey ci odwiecznych praw dla świata
 Mnie zakazali pogrzebać zwłoki brata.
 A wyrok twój, ten nie jest mi ustawą
 Potężną tyle, by wieczne boskie prawo
 Ważyło mniej od woli śmiertelnika;
 Choć niespisane to prawo nas przenika
 Nie od dziś dnia — i trzyma świat w porządku —
 I trwa na zawsze bez końca i początku.
 Ja niechęć więc by próżna ludzi trwoga
 Miała mnie wydać na słuszną pomstę Boga.
 Grozi mi śmierć? to rzeczy nic nie zmienia,
 Wiedziałam o tem bez twego orzeczenia.

A gdy po stanowczem jej potępieniu Kreon stara się zachwiać jeszcze jej wewnętrzne przekonanie o wartości do-

konanego czynu, wykazując iż najeźdźca kraju nie powinien doznać tej samej czci co jego obrońca, znajduje Antygona dziwnie piękne, z serca płynące odpowiedzi, mówiąc, że śmierć ich porównała już obu w ich prawach i że jej przystoi podzielać tylko miłość a nie nienawiść.

Przybycie Ismeny, której wdzięczne lica wedle słów chóru zroszone są łzami żalu i miłości siostrzanej, dodaje wdzięku i barwności temu i tak już wzruszającemu epizodowi. Ismena błaga tu siostry by jej pozwoliła razem z nią zginąć oświadczając, że życie po jej stracie nie będzie miało dla niej żadnej wartości. Lecz Antygona nie chce podzielić się z siostrą zaszczytem chwalebnej śmierci, gdy ta niechciała wzięść udziału w jej czynie. „Tyś sobie życie a jam śmierć wybrała“ odpowiada jej niewzruszenie. W tej walce uczucia, wspaniałomyślności i szlachetnej dumy, obie dziewice dosiegają najidealniejszych wyżyn. Surowość i niezłomny hart Antygony, serdeczna tkliwość i słodycz Ismeny posiłkują się wzajemnie, by wy dobyć na jaw najpiękniejsze strony ludzkiej natury. Jeden tylko Kreon patrzy na to zimno i każe odprowadzić pod strażą obie dziewice. Na tem kończy się drugi epizod. Kreon pozostaje w zamyśleniu na scenie, a chór odśpiewuje następujący *stasimon*, zastosowany do nieszczęść Edypowego domu i losu samej Antygony.

Szczęśliwi, co złych losów jeszcze nie zaznali;
 Bo gdy niebo dom jaki chce zniszczyć — niespocznie,
 I ogrom nieszczęść na niego się zwali
 Na zgubę rodu mnożąc się widocznie.
 Tak jako tam na północy
 Gdzie wichur morskie wybrzeża
 Wypełnia burzą, gdy w otchłań uderza
 Podmorskiej nocy;
 I fale piętrzy i kłębi
 I na dnie w piasku się ryje,
 Aż ryk się podnosi z głębi
 I brzeg chłostany falą strasznym głosem wyje.

W zagasłych Labdakidów domu bez wytehnienia
 Klęska za klęską spada jako grom bijąca,
 Klątwa z pokoleń idzie w pokolenia
 I bez ratunku Bóg je wszystkie strąca...

Gdyż kwiatu piękny zawiązek,
 Co nam zajaśniał tak mile
 Z ostatnich domu Edypa gałązek
 Wschodząc na chwilę,
 Znów teraz sierp krwawy scina
 Podziemnych bóstw nielitosnych —
 Niebacznie ściągnięta wina
 Szałem słów i obłędem Erynnii zazdrosnych.

Czyliż z śmiertelnych kto może?
 Postawić opór o Boże!
 Twej mocy, co niestrudzona
 Dogląda przestrzenie śpiące —
 A której sen zwycięzca światów nie pokona
 I wieczne niebios nie znużą miesiące.
 Ty w czasów nieskończoności
 Zawsze niezmienny!
 W olśniewającej Olimpu jasności
 Na tronie siedzisz promienny;
 Więc dziś i nadal, każdy z nas podlega
 Tak jako przedtem prawom woli boskiej . . .
 I trwanie ziemskie kresu nigdy nie dobiega
 Wolne od troski.

Dla niejednego ach! z ludzi
 Błędny ogień nadziei staje się osłoda;
 Lecz nie jednego próżne pragnienia zawiodą,
 Nie jeden gorzko się ludzi
 Goniąc sny, które ziścić się nie mogą,
 Właśnie gdy w żar płomieni wstępuję swą nogą.
 Wielka się mądrość wyraża
 W tem mędrca wielbionem słowie:
 Że często złe największe za dobre uważa
 Ten, komu rozum odbiorą bogowie —
 I krótko szczęściem się cieszy,
 Sam bowiem dobrowolnie do swej zguby spieszy.

Po odśpiewaniu stasimonu, część chóru zawiadamia Kreona, że Hemon nadchodzi i cały następujący epizod wypełnionym zostaje przez tragiczne starcie ojca z synem o skazaną na śmierć narzeczoną.

Z gwałtownem odejściem Hemona, co niechce być świadkiem wyprowadzenia na śmierć swojej narzeczonej, bojąc się

by na ten widok nie rzucił się na własnego ojca, chór zamyka znowu epizod równie zastosowanym do położenia spiewem

Miłości! ty, co zwyciężko
 Wśród wszystkich walk tryumfujesz,
 Ty, co zapalasz pierś mężką
 I z słodkim wdziękiem czatujesz
 Na ust dziewiczych purpurze,
 Co wnikas w głębie morza, co mieszkasz w pustyni,
 I samowładnie w całej panujesz naturze
 Wielka bogini!
 Tobie nie ujdzie żaden w nieśmiertelnych gronie
 I żadne ze ziemskich dzieci . . .
 A kogo pochwycisz w sieci
 W marzeniach tonie.

Ty prawych pchasz do bezprawia,
 Umysłów kazisz pogodę—
 Ty wzniecasz tutaj niezgodę,
 Co tak blizkich krwią mężów przeciw sobie stawia.
 Ta jasna spojrzeń ponęta
 Wybranej sercem piękności,
 Przeważa do rady wzięta
 Najwyższych głos powinności.
 Próżny opór — gdy sobie igraszkę uczyni
 Wielka miłości bogini.

Pieśń się kończy a wojownicy wprowadzają na scenę idącą na śmierć Antygonę i tu następuje przeważnie liryczny epizod, którego główne tło stanowi śpiewna rozmowa Antygony z chórem pełna najtkliwszego uczucia, podniosłości a razem prostoty.

Oto początek:

ANTYGONA.

Obywatele mej ziemi ojczystej,
 Spójrzyjcie na mnie, co idę tą drogą
 Po raz ostatni!
 Spójrzyjcie na mnie, która promienistej
 Heliosa twarzy widzę światłość błogą
 Po raz ostatni!

Mnie uprowadza Hades, co wszystko pochłania,
 Do pośepnego mieszkania
 Nad Acheronu brzegami,
 Zanim mnie ślubnym ucieszono wieńcem
 I weselnemi hymnami —
 Acheron tylko będzie moim oblubieńcem!

CHÓR.

Wszakże okryta chwałą i wielbiona
 Zstępujesz w ciemne umarłych przepaści;
 Ani chorobą ciężką nie zgryziona,
 Ani od miecza padając napaści,
 Lecz dobrowolnie w pełnej życia mocy
 Z tryumfem schodzisz do Hadesu nocy.

ANTYGONA.

W dalekiej Frygii słyhać o córce Tautala
 Jak śmierć straszliwą na Sypilu szczycie
 Poniosła w głazu ujęta spowicie,
 Który ją całą okala
 Jako bluszcz swemi splotami—
 Z lic jej płynących deszczami—
 Jako wieść głosi
 Nigdy nie schodzą śniegi, ani mgły co wiszą...
 I wiecznie z rzęs kamiennych gład ten łzami rosi.
 Tak samo mnie na zawsze złe losy uciszą.

CHÓR.

Ona się boskiem szczyci pochodzeniem,
 My zaś śmiertelni z naturą człowieczą,
 Więc dla znikomych wspaniałą jest rzeczą
 Dorównać bóstwu swoim przeznaczeniem.

ANTYGONA.

Szydzicie ze mnie.? O! na ojców bogi,
 Czyż wy możecie w sposób tak złowrogi
 Nad potępioną znęcać się niewiastą?
 O ludu, o moje miasto,
 O znakomici mężowie narodu,
 Przed wami nieszczęsna staję —
 Dirkejskie źródła, i wy święte gaje,
 Tego wozami, wślawionego grodu,
 Na świadki was powołuję:

Że nieżegnana łzami przyjaznemi,
 Z mocy praw srogich zstępuję
 Do piętrzącego się grobu podziemi,
 Ja nieszczęśliwa!
 Co w istniejących gronie się nie mieszczę,
 Ani w orszaku cieni co spoczywa,
 Żywym i zmarłym równie obca jeszcze.

CHÓR.

Na strome stopnie prawa tyżeś przecie
 Na nic nie bacząc wdzieriała się śmiało —
 Więc w grób się ztamtąd stoczyłaś o dziecię!
 I winę przodków okupujesz całą.

Ta scena kończy się odprowadzeniem Antygony do przeznaczonyj na jej zamknięcie pieczary, z rozkazu niecierpliwiącego się na zwłokę Kreona.

Poczem chór występuje z nowym stasimonem, opiewającym losy zamkniętej również w więzieniu Danae i losy innych osób, których nieszczęścia są niejako zbliżone do nieszczęść Antygony. Przybycie Tiresiasza dostarcza treści do ostatniego epizodu, w którym akcja dramatyczna dobiega swego najdalszego kresu zdążając do zapowiedzianego już rozwiązania. Wprowadzenie mądrego wieszczbiarza jako najwyższej powagi moralnej, występującej przeciw nadużyciu władzy w obrobie uciśnionych i zrobienie go czynnikiem rozcinającym cały węzeł tragiczny przepowiednią strasznej katastrofy, należy do najpiękniejszych pomysłów Sofoklesa.

Z chwilą gdy z ust odchodzącego starca pada prorocza klątwą, tragiczna walka jest już zakończoną i znieważający z kolei wszystkie świętości Kreon podpada bez ratunku swemu przeznaczeniu. Naprózno wybiega on ażeby zastosowaniem się do rady proroka cofnąć niebieskie wyroki, wszyscy wiedzą, że one są nieodwołalne. I dla tego chór w wspomniałym a ostatnim stasimonie podnosi hymn uroczysty, w którym wzywa Bachusa opiekuńcze Teb bóstwo ażeby wziął w opiekę swoją to miasto i kraj cały wśród groźących klęsk i niebezpieczeństw.

Jeszcze ostatnie dźwięki hymnu nie przebrzmiały, gdy nadchodzi posłaniec niosący straszne wieści. Tu już poczyna się exodos czyli rozwiązanie tragedyi. Pierwsza jego część objęta

jest sceną między posłańcem, chórem i Eurydyką matką Hemoną która tylko raz się odzywa, a dowiedziawszy się o zgonie syna w milczeniu odchodzi. To złowrogie milczenie silniejszym jest od wszystkich słów zapowiadając niezłomne postanowienie. Teraz zjawia się sam Kreon i padając na przyniesione zwłoki syna w tej wzruszającej boleścią skardze żal swej pocznie wyrażać.

O straszna wino! śmiertelny obłędzie
 Rozumu bezrozumego!
 Ziomkowie, kto z was łyzy lać zemną będzie,
 Widząc zabójcę obok zabitego.
 O biada mojej woli nieroztropnej,
 O biada, biada!
 Nieszczęsny synu, o losie okropny,
 Zgasłeś tak młodo, jak kwiat co opada,
 Ach! Ach! moj synu jedyny,
 Nie z twojej, lecz z szaleństwa mego ciężkiej winy.

Skargi Kreona przerywa posłaniec wiadomością o sambójczym zgonie Eurydyki.

Wśród wybuchów zgrozy i rozpaczy dowiadyuje się złamany starzec o przerażających szczegółach. Przyzywa śmierci jako jedynej ucieczki a zwracając się w końcu do chóru stan swój maluje w tych ostatnich słowach:

Precz ztąd nędznego człowieka zabierzcie,
 Który cię synu zabił mimo woli
 I ciebie żono. W tak okropnej doli
 Nie wiem gdzie wpierw się zwrócić. Teraz wreszcie
 Wszystko przepadło. Ach! z straszliwą siłą
 Nieszczęście na me barki się zwałiło.

Naco odpowiada chór.

Ziemskiego szczęścia pierwszą jest podstawą,
 Objąć umysłem wieczne boskie prawo,
 Więc nienależy znieważać świętości —
 Wyniosłe słowo, wyniosłego władcy,
 Gromem na głowę spada świętokradcy
 I starość jeszcze uczy się mądrości.

W tych słowach zamykającego całą tragedję chóru stre-
 szcza się jeszcze raz jej szlachetna, głęboko-filozoficzna dążność.

Występuje ona z całą jasnością nieśmiertelnej prawdy, z łona umarłych światów w najodleglejszą przyszłość posyłając swe promienie. Mijają wieki, zmieniają się pokolenia i ludy, ale ten wspaniały chór płynie po nad ziemią falą wzniosłej harmonii, niosąc przestrożę tym, co zaufani w swą siłę i rozum gwałcą ogólnoludzkie świętości, pociechę zaś dla tych, co pozbawieni praw i siły opierają się jedynie na wyższej moralnej idei.



F

24.062